

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

— Ah! Nauka! Praca! — szeptał z goryczą — I cóż mi z tego? Ileż godzin ciężkich przetrwałem nad nią, badając, ucząc się, szukając i stoję nad tem samem, co przed latami. Umysł mój wysechł w tych trudach niewdzięcznych i bardziej może nieświadomy jestem głębokich zagadnień życia, niż pierwszy lepszy głupiec, zajęty tylko troską zdobywania łatwych rozkoszy.

Po chwili jednak gorączkowe podniecenie, które oderwało go od pracy, gasnąć zaczęło, smutek osiadł na zmęczonej twarzy, ciężkim krokiem powrócił do stolika i ujawszy w dłonie rozpalone czoło, zamyślił się głęboko.

Bo i jakież było życie jego dotąd? Już od pierwszej chwili istnienia, ciężar nieokreślonego smutku i przygnębienia zniszczył w nim bujne porywy młodości i wiary, uczynił z niego człowieka przedwcześnie dojrzałego, przykuwając do tych starych ksiąg, w których widział jedyny cel przyszłości swojej i w których zasklepił się, zapominając o świecie całym. Czyż przez nie tylko mógł poznać życie i zrozumieć jego głębie? Mariwe słowo miało być silniejsze niż czyny i energia ludzka? Czuł, jak z każdym rokiem, strawnym w tej pracy, wzrastał ból w nim ukryty, zabijający wszelkie odruchy zewnętrzne życia, wywołujący jakiś niepokój nieokreślony i przekonanie, że przecież poza temi starymi księgami i wspomnieniami przeszłości, któremi się otoczył, jest jeszcze coś bardziej może wartościowego — bo życie samo, to życie, którego tajemnicę znaleźć chciał w zagadnieniach śmierci. On, człowiek, czasika tej przeobrzimiej, potężnej natury — w stęchliźnie i prochu szukał odpowiedzi na dręczące go pytania! Nie! On z tem wszystkiem pożegnać się musi, nie w tył, lecz naprzód mu iść potrzeba! Czuje od pewnego czasu coraz silniejsze i natęższe wołanie życia, które się suchemi, marnemi słowami usnąć nie dało i teraz żywiołową falą przepływa przez jego ciało, tamując oddech w piersiach, przyspieszając bicie serca, tak powolne dotąd!

Młody człowiek opuścił dłonie na stół, podniósł głowę i spojrzał przed siebie. Z twarzy jego znikł smutek i gorycz piętnująca ją przed chwilą. W ciemnych oczach gorzał zmartwychwstały blask nadziei i pragnienia życia.

— Tak! — szepnął, oddychając głęboko — Dostyc tej węzłacy, tej szarżyny, która tłumiła we mnie siłę, zabijając powoli ja do tej pory nie żyłem jeszcze! Pragnę powietrza, przestrzeni, słońca! Pragnę czynu! Pragnę świadomości mojego istnienia!

Był tak zajęty swojemi myślami, że nie słyszał, iż już dwukrotnie ktoś pukał do drzwi dosyć niecierpliwie.

Pukanie powtórzyło się raz jeszcze, tym razem tak silne i energiczne, że w końcu zwróciło jego uwagę.

Któż mógł przychodzić w tej dziwnej, przełomowej dla niego chwili. Mimowoli przypomniała mu się scena z Faustem. Czy nie było tu pewnych analogii? Ten sam nastrój duchowy, godzina ta sama!

— Jestem podniecony i wyobrażenia moja galopuje w najlepsze. — pomyślał, uśmiechając się.

— Proszę wejść! — zawołał, nie mogąc się oprzeć pewnemu wzruszeniu, które go nagle opławiło.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Młody człowiek nie widział go nigdy, spojrzał więc na nowoprzybyłego z nieukrywana ciekawością, tembardziej, że wygląd jego miał w sobie coś niezwykłego. Włosy jasno rudawe dziwnie odbijały od zielonawych oczów, błyszczących metalicznym blaskiem. Nos jego prosty, zakrzywiony cokolwiek u końca, dotykał wąsów, krótko przyszyronych. Na wąskich i cienkich ustach błakał się ironiczny uśmiech, nadający całej twarzy cechę zgryźliwości i drwiącej nieufności. Twarz bladą nie ożywiał blask życia, które, zda się, skoncentrowało się całe w głębokim wyrazie oczów i dziwnym uśmiechu tych ust wąskich.

Z postawy czynił wrażenie człowieka musku-

larnego i silnego, wytrwałego na zmęczenie fizyczne.

Wiek jego nie dał się dokładnie określić. Mógł mieć lat czterdzieści, albo i więcej.

Podczas, kiedy młody człowiek z uwagą obserwował przybysza, tenże swobodnym krokiem podszedł do niego, mówiąc głosem, wyrażającym silne zadowolenie:

— Witam doktora Franka!

— Panie! — szepnął młody człowiek zmieszany.

Ale nowoprzybyły nie dał mu dokończyć. Uściśnął silnie jego rękę i zapytał:

— Czy nie przeszkadza panu? Pan studiował, zdaje mi się.

— Jestem już zmęczony.

— Oh! Tak! Zapewne! Piszą książki i każą nam nieomylnie wierzyć w to wszystko, co w nich wydrukowane. Ale przypuszczam, że jest pan dostatecznie uświadomiony, aby nie mieć iluzji w tym kierunku.

Doktor Frank zdziwiony był szczeremi słowami nieznanego gościa, którego ton pewny siebie podrażnił go cokolwiek.

— Wybacz pan — rzekł zimno — ale chciałbym poznać..

— Nazwisko moje? — przerwał nieznajomy.

— Oczywiście.

— Nazwisko moje nie objaśni pana. — wy-rzekł niedbale — Jest na świecie paręset głupców, którzy nazywają się tak, jak ja.

— Bardzo dobrze, mój panie! Ale właściwie, któż pan jesteś?

— Oh! To jeszcze trudniejsze do objaśnienia. Od lat blisko dwudziestu zadaję sobie sam to pytanie, nie mogąc znaleźć właściwej odpowiedzi. Poza tem nie przyszedłem tutaj mówić o sobie i jeżeli pan pozwoli, porozmawiamy trochę.

Mówiąc to i nie czekając na przyzwolenie młodego człowieka, nieznajomy przysunął sobie jedyne krzesło, mogące w tym pokoju służyć do użytku i wygodnie usiadł na niemi.

Frank patrzył na niego z wzrastającym zdziwieniem, nie umiając sobie wytłumaczyć tego dziwnego zachowania.

— A więc — rzekł nieznajomy, obrzucając go bystrem spojrzeniem — przybyłem tutaj z daleka i nie kryję wcale, że pan jesteś głównym powodem mojej podróży.

— Ja?

— Tak, pan.

— Ale jakiż cel mieć pan w tem może?

— Dowie się pan o tem później.

— Dlaczego nie zaraz? — zapytał niecierpliwie młody człowiek, brwi marszcząc.

— Bo tymczasem mamy co innego do czynienia.

— Więc pan mnie zna i skąd, jeżeli wolno wiedzieć? — badał dalej Frank uparcie.

— Zaraz pana o tem przekonam.

— Słucham.

Nieznajomy uśmiechnął się i prawie łagodny wyraz zabłysnął w jego oczach.

— Pan się urodził w Ameryce, nieprawdaż? — zapytał po krótkiej chwili milczenia.

— Rzeczywiście. — odparł doktor.

— Ma pan lat dwadzieścia pięć?

— Mniej więcej.

— Poza tem jest pan pracowity, żądny życia, szukający w uporczywej nauce tych środków, których przypadek odmówił panu, czy nie tak?

— Pan się nie myli.

— Otrzymuje pan corocznie — mówił dalej nieznajomy poważnym głosem — pewną kwotę umożliwiająca panu życie i prowadzenie dalszych studiów?

Frank drgnął ze wzruszenia.

— Pan wie o tem? — zawołał ze zdumieniem.

— Oh! Wiem jeszcze wiele innych rzeczy. — podjął nieznajomy — Ja pana znam nie od dzisiaj, znam pana od bardzo dawna już, chociaż to było tajemnicą dla pana.

— Ale jakże to być może!

— Niech pan będzie spokojny, nie szpiegowałem pana. — zaśniał się nieznajomy, widząc oburzenie bijące z oczów młodego doktora — Są ludzie, którzy się tem trudnią specjalnie, ale pomimo to posiadam o panu jaknajobszerniejsze i dokładne objaśnienia. Wiem, że podróżował pan dużo, zwiedził pan wiele ciekawych miejscowości w Europie i poza jej granicami. Widziano pana w Kalkucie, w Valpareso, w Londynie, w końcu przybył pan osiedlić się w Paryżu.

— Zadziwia mnie jednakże dokładność wiadomości powziętych o mnie. — zauważył niechętnie doktor Frank.

— Oh! Bo i ja także bardzo dużo podróżowałem. — rzekł spiesźnie nieznajomy.

— A więc śledził mnie pan? — zawołał młody człowiek gwałtownie.

— Powiedziałem już panu, że pozostawiam tę czynność innym ludziom. Ja również studiowałem.

— Co takiego?

— Ludzi... ich obyczaje... ich socyalne urządzenia. Ale miałem jeszcze cel inny, lecz o nim tylko pan i ja wiedzieć będziemy.

Przy tych słowach cień jakiś przeszedł po czole nieznajomego. Powstał nagle i stając przed doktorem, wymówił energicznym, przekonującym głosem:

— Czy wie pan dlaczego tu przyszedłem? Bo chcę się stać dla pana użytecznym.

— Mnie? — rzucił młody człowiek, patrząc z zainteresowaniem na gościa.

— To się stać może łatwo!

— Kimże więc pan jesteś? — powtórzył niespokojnie doktor Frank.

— Jestem niczem, ale mogę wiele. Tak, jak pan, prowadzę koczownicze życie, zajmuję się studiowaniem ciekawych rzeczy z tą różnicą tylko, że jestem starszy od pana o lat dwadzieścia pięć. W tym wieku może człowiek już dowolnie korzystać z nabytych w ciągu życia wiadomości.

— Więc czego pan żąda odemnie?

— Nie żądam niczego, chcę być panu pomocnym.

— Ale w czym?

— Niech się pan nad tem dobrze zastanowi — wymówił z naciskiem nieznajomy.

— Kiedy ja nie pragnę niczego. — szepnął młody człowiek, spuszczaając głowę.

Nieznajomy patrzył na niego z drwiącym uśmiechem na wąskich ustach.

— Przepraszam pana — rzekł ironicznie — ale zapominałem powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy.

— Co takiego?

— Zajmowałem się dłuższy czas odgadywaniem cudzych myśli i poniekąd posiadając wzrok podwójny...

Doktor Frank wybuchnął szczerem śmiechem.

— Powinien pan być rzeczywiście uprzedzić mnie o tem. — rzekł drwiąco.

— Dlaczego?

— Bobym wiedział, że od godziny mam do czynienia ze szarlatanem.

— To słowo jest za surowe, kochany panie.

— Dlaczego więc mówi pan o podwójnym wzroku?

— Nie wierzy pan w to?

— Do czego panu to posłużyć mogło?

— Choćby do odgadnięcia tego, co pan usiłuje ukryć przedemną.

Doktor Frank spowaźniał nagle.

— Cóż więc takiego ukrywam przed panem? — zapytał nerwowo.

— Imię kobiety, którą pan kocha.

— Kobiety?

— Tak! Jest ona córką bankiera de Compans.

— Sylwia — wykrzyknął młody człowiek, blednąc.

— Sylwia — powtórzył zimno nieznajomy.

Coraz silniejsze zmieszanie ogarniało doktora. Nie wiedział jak sobie wytłumaczyć te nagle, niespodziewane odwiedziny szczególnego gościa, ani jego przenikliwości, której takie dawał dowody. Siarał sobie przypomnieć, czy kiedy zwalczony uczuciem, które ukrywać musiał, nie zdradził się jakim niebacznym słowem lub spojrzeniem podchwycyconem przez kogoś bez jego wiedzy.

— No i cóż? Czy dobrze odgadłem? — przerwał milczenie nieznajomy, uśmiechając się.

— Nie wierzę w odgadywania! — odparł młody człowiek niechętnie.

— A jednak nie pomyliłem się.

— A gdyby nawet tak było! — zawołał doktor, tracąc panowanie nad sobą.

— Nie widziałbym w tem nic złego! — kończył spokojnym głosem tajemniczy gość — Ma pan słusność. Kiedy się kocha, pragnie się wzajemności. Ale niech pan pozwoli sobie powiedzieć, że złą do tego obiera pan drogę, ukrywając się tu, w tej mansardzie, gdzie napewno sławny bankier de Compans nie przyjdzie szukać pana.

Doktor Frank uśmiechnął się z goryczą. Cho-